

Mnie nie wydaje się wcale ani śliczna, ani słodka, bo jest różowa, bo twarz ma w czerwone kropki. I najmniej podobna jest do Mariny, bo Marina jest piękna, prawie tak piękna jak ty.



Kiedy kończę piątą klasę, a Rok pierwszą, mówisz:

– Skarbie mój złoty!

I opierasz się o blat kuchennego stołu, na którym rysujemy.

– Boli mnie brzuch, już od dłuższego czasu, wiecie o tym, prawda?

Kiwamy głowami, Rok żuje czerwoną gumę.

– W końcu wiem dlaczego.

Nad twoją górną wargą lśnią drobne kropelki potu, cały czas trzymasz się stołu.

– Mam ranę na żołądku, jest dość duża. Muszą mi wyciąć żołądek, wujek Vlado powiedział, że to zrobi, a Bojan będzie mu pomagał. W przyszłym tygodniu pójdę do szpitala, ale nie bójcie się, szybko wrócę.

Śmiejesz się dziwnie, po chwili odrywasz ręce od blatu i przytulasz nas oboje. Ściskasz za mocno i ściskasz za długo. Boli mnie, ale nawet nie drgnę.

– A co z moimi urodzinami? – pytam. Nie odpowiadasz, ale ja wiem, że wtedy będziesz już w domu. Bo zawsze jesteś.

– Wszystko będzie dobrze – przekonuję ją trochę później.

– Kiedy dadzą ci narkozę, oddychaj. Zobaczysz Królową Śnieżkę i siedmiu krasnoludków.

– Możemy teraz wyjść na dwór? – pyta Rok. Wokół ust jest pobrudzony na czerwono.



W to upalne popołudnie na podwórku są wszyscy, nie mogę się doczekać, żeby im powiedzieć. Jestem bardzo ważna, bo żadna inna mama nie wybiera się do szpitala, tylko moja. Na parter zjeżdżam po poręczy, Rok zbiega po schodach,

ścigamy się, kto będzie pierwszy, ścigamy się, kto powie pierwszy.

– Moja mama idzie na operację! Wytną jej żołądek! – krzyczę, wpadając na podwórko. Wszyscy w jednej chwili stoją wokół nas, wszyscy się dopytują. Czuję się świetnie, bo jestem najważniejsza, bo dzisiaj triumfuję nad Bojaną i Alenką.

Na słońcu jest za gorąco, więc siadamy w cieniu przed garażem. Siadamy pod oknem Tomaża, żebym od czasu do czasu, przypadkiem, mogła zerknąć w górę, jeśli on przypadkiem spojrzy w dół. Barbara przynosi pestki moreli, które jedli na deser. Rozbijamy je cegłami i zjadamy to, co jest w środku. Ty stoisz na balkonie oparta o poręcz i patrzysz na mnie, czasem się uśmiechasz, czasem mi machasz, a wtedy ja macham do ciebie. Dwa razy krzyczysz z góry:

– W pestkach jest trucizna, nie jedz tego!

Jem dalej.

Popołudnie jest spokojne, bardzo spokojne. W końcu zar przestaje łać się z nieba, więc idziemy strzelać z rurek. Najlepszą rurkę ma Aleś z Topnińskiej. Moja rurka nie jest gładka, dlatego papierki zostają w środku, nawet jeśli dmucham tak mocno, że aż mi huczy w głowie, i dlatego zawsze ktoś mnie trafia. Kiedy mamy tego dość, zaczynamy się bawić w policjantów i złodziei.

W porze kolacji ciebie nie ma, taty też. W naszej kuchni słońce robi się pomarańczowe. Dada przewraca naleśniki na patelni, ja i Rok oglądamy kreskówkę, gdy nagle z Vojkovej dobiega przeraźliwy pisk opon. Lecę do naszego pokoju i odsłaniam firanki, żeby zobaczyć wypadek, bo na naszym skrzyżowaniu jest dużo wypadków. Na dole jednak nie widać żadnego wypadku, tylko na samym środku ulicy stoi nasz pomarańczowy samochód, a w nim siedzi tata. Po chwili auto rusza, lecz nie jedzie tak, jak powinno, ale do tyłu. Od nas do Krušiča jedzie tyłem, tak jak się czasem parkuje.

Wpadam do kuchni z krzykiem:

– Dada, Dada, na dole jest tata, jedzie tyłem, jeszcze ktoś walnie! Wszyscy na niego trąbią!

Dada milczy, nie mówi ani słowa, tylko gasi gaz, na twarzy jest zupełnie szara. Spojrzeniem błądzi gdzieś daleko, a chwilę później rzuca coś, co słyszę pierwszy raz:

– Skarbie, idę do siebie, zostawcie mnie na moment w spokoju, dobrze?

Zjadamy więcej naleśników, niż nam zwykle wolno. Ja sześć, Rok pięć. Robi mi się trochę niedobrze, Rokowi tak samo. Jest już za piętnaście dziewiąta i wciąż siedzimy przed telewizorem, wciąż jesteśmy sami. Dada nie wychodzi ze swojego pokoju, czasem mi się wydaje, że za jej drzwiami ktoś płacze. Tata nie wraca do domu i ty też nie wracasz do domu. Jeszcze nigdy tak nie było.



Przed pójściem na operację dostajesz nowy szlafrok. Jest z ciemnoniebieskiego pluszu, bardzo miękkie i bardzo ładny. Pokazujemy go wszystkim, którzy do nas przychodzą.

W tych dniach jest u nas mnóstwo ludzi. Wtedy Dada czasem idzie do swojego pokoju. Szachy, karty i kości leżą na gazecie pod telewizorem.



Kiedy idziesz, jest wtorek. Kiedy idziesz do szpitala, jeszcze pięć razy muszę spać do moich dwunastych urodzin. „Wrócisz do niedzieli?”, krzyczę za tobą, gdy cię zabierają. Wszyscy coś mówią, Rok płacze. Nie słyszę, co mi odpowiadasz, jesteś już w połowie schodów.



– Mama będzie spała, nic jej nie będzie bolało, Bojan i wujek Vlado będą pilnować mamusi – mówię Rokowi wieczorem. – Myślisz, że do niedzieli wróci?

– Wróci – potakuje Rok. – Którą bajkę wolisz? O młodej żmii czy wściekłym ślimaku?

– O wściekłym ślimaku – odpowiadam.



– Tylko jednego nie rozumiem, dlaczego będą musieli wyciąć mamie żołądek, jeśli ma ranę, dlaczego nie zaszyją tej rany?

– pytam Dadę przy śniadaniu.

Dada się nie odzywa. Po południu pytam tatę:

– Dlaczego nie zaszyją jej rany?

Tata odpowiada:

– Nie bądź taka mądra!

Czekam na Bojana, żeby go spytać, bo on najlepiej zna się na tych sprawach, ale Bojan nie przychodzi. Boję się, że żołądek wytną ci przez pomyłkę, bo nikomu nie przyszło do głowy, że można go zaszyć. Rok myśli tak samo.



– Micie wycięli trzy czwarte żołądka – mówi tata w czwartek.

– Musimy pomalować mieszkanie, zanim wróci.

– O, mój Boże – wzdycha Dada. – Biedna moja Mita.

Ciężko siada na krześle, jej spojrzenie znowu biegnie gdzieś daleko, a oczy mają kolor wody. W tych dniach często tak się dzieje.

Siedzę za stołem i jestem cicho, bo nie mogę sobie przypomnieć, co znaczy trzy czwarte. Wiem tylko, co znaczy ćwierć. Bo czasem mówię w sklepie: „Poproszę ćwiartkę białego chleba”. Nie mam odwagi zapytać, bo myślę, że chyba powinnam to wiedzieć, może już się tego nauczyliśmy. Wydaje mi się, że to więcej niż ćwierć, że raczej trzy razy więcej, a to, wydaje mi się, bardzo dużo. Przynajmniej chleba byłoby dużo – trzy razy po ćwiartce, czyli prawie cały bochenek, więc pewnie trzy czwarte żołądka to prawie cały.

– Jeśli mama nie ma już żołądka, to nie będzie ją bolał – stwierdza Rok.

– Racja – potakuję.

Dada nic nie mówi, tata też nic nie mówi.

Wieczorem pytam Roka, jak myśli, co znaczy trzy czwarte, ale on nie wie, bo umie dodawać dopiero do dwudziestu.

A potem jeszcze:

– Myślisz, że w niedzielę będzie już w domu?

– Będzie – odpowiada Rok. – Którą bajkę wolisz? O młodej żmii czy wściekłym ślimaku?

– O młodej żmii – mówię.



Kiedy idziesz, jestem sama. Zdaje mi się, że mnie zostawiłaś. Że mnie porzuciłaś.

Na podwórku spoglądam czasem na balkon. Tylko pranie się tam suszy. Tego, co jest w środku w pestkach moreli, już nie jem. „To trucizna”, mówię do Barbary.

W piątek po południu chcę pójść do ciebie.

– Mama jest na intensywnej terapii – odpowiada tata.

Intensywna terapia oznacza, że jesteś daleko stąd.

W sobotę znowu chcę pójść do ciebie.

– Mama cały czas jest na intensywnej terapii. Ma gorączkę – znowu mówi tata. Wciąż jesteś daleko stąd.

– A czy jutro będzie w domu? Jutro mam urodziny, wiesz? – pytam tatę na wszelki wypadek.

– Nie, jutro mamy nie będzie w domu, przecież ci powiedziałem, że jest na intensywnej terapii – odpowiada tata.

Intensywna terapia oznacza, że na urodziny będę sama.

Zaczynam płakać. Pierwszy raz. I przypominam sobie, jak powiedziałaś, że od teraz, kiedy nie ma już Tity, wszystko będzie inaczej.

Wieczorem mówię do Roka:

– Rok, wiesz, że jutro nie będzie w domu mamy na moje urodziny?

– Będzie – mówi Rok. – Które zwierzę lubisz najbardziej?

– Małpę.

– A ja tygrysa – mówi Rok i zasypia.

Słucham, jak oddycha, i ciężko oddycham razem z nim. Oddycham ciężko i tak wolno, jak oddycha Rok, bo brakuje mi powietrza. Serce wali mocno.



– Wyszykujcie się, idziemy, mamę przenieśli na oddział – mówi tata w poniedziałek.

Wkładam zieloną sukienkę, czeszę się. Pomagam Rokowi, oboje wyglądamy ładnie.

Na czwarte piętro szpitala jedziemy dużą windą, korytarze są długie i szerokie, podłoga błyszczą. Z Rokiem trzymamy się za ręce.

– Lepisz się – mówi do mnie Rok.

Nie odzywam się, bo powtarzam to, co muszę ci powiedzieć, co się wydarzyło przez tych kilka długich dni, odkąd cię nie ma. Mam nadzieję, że o niczym nie zapomnę.

Na twój widok zapominam wszystko. Jesteś inna.

– Wszystkiego najlepszego, skarbie mój, nie mogłam, wybacz!

Nie wybaczam, ale mówię:

– Nic się nie stało.

Chce mi się płakać, całujesz mnie w czoło. Usta masz suche i popękane, a w prawym kąciку krostkę.

– Jak wyglądam? – pytasz.

– Jesteś blada, usta też masz blade, ale reszta w porządku.

– Nie wolno mi już palić papierosów, pić kawy i jeść tatar – mówisz.

– Ja też nie lubię papierosów, kawy i tatar – stwierdza Rok, który wciąż nie je nic czerwonego, nawet truskawek, nawet czerwonej oranżady w proszku.

– Bojan powiedział, że kiedy budziłam się z narkozy, wołałam cię po imieniu – powiadasz, patrząc na tatę. Jemu się wydaje, że dlatego nie jest źle. – Mówią, że rana wygląda dobrze, nic nie ropieje, niedługo wrócę do domu.

Potem milczymy, w głowie mi szumi, nie mogę sobie przypomnieć tego, co powtarzałam przez całą drogę, więc nic nie wiesz o pestkach moreli, o Tomażu, o płetwach, maskach i fajkach do nurkowania, o *Białej grzywie*, torcie, wafelkach, telewizji i morzu.

Jesteś ode mnie daleko, jeszcze bardziej niż wtedy, kiedy cię nie ma. Trochę się ciebie boję, mam miękkie nogi. Opieram się o krawędź łóżka, tam gdzie wisi karta pacjenta, bo tak mi łatwiej stać.

– Widzisz, spada ci temperatura – mówi tata, pokazując wykres na karcie.

– To dobry znak! – Śmiejesz się i zamykasz oczy.

– Śpi, idziemy? – pyta Rok chwilę później.

– Tak, śpi, idziemy – mówię też chwilę później.

– Bądźcie grzeczni, skarby moje kochane, i nie gniewajcie się na mnie, już niedługo wrócę do domu.

Ty też mówisz te słowa chwilę później, więc czuję się nieswojo. Wpatruję się w swoje sandały, Rok miętosi w rękach prześcieradło.

Potem tata odwiedza cię sam.



Kiedy wracasz do domu, w łóżku masz zmienioną pościel, kurz jest starty, okna umyte, umyty jest też wentylator. Wszystkie ręczniki w łazience są świeże, kuchnia lśni bielą.

Kiedy wracasz do domu, jesteś słaba. Dada gotuje ci mus jabłkowy, rosół zrobiła już wczoraj.

Kiedy wracasz do domu, od razu ja, tata i Rok jedziemy nad morze. Jedziemy do przyczepy w Rovinju jeszcze tego samego dnia po południu. „Mamusia musi mieć spokój”, mówi tata, a ty się nie odzywasz, wciąż jesteś daleko. Patrzą na twoją twarz, na bruzdy, które biegną od nosa do kącików ust. Są głębokie, bardziej niż kiedyś. I twoje oczy nie są już takie same. Jakby ktoś zgasił w nich światło.

Nad morzem brakuje mi ciebie. Wśród naszych ręczników brakuje mi twojego, brakuje mi twojego brzucha.

Ale tata jest bardzo fajny, więc trochę o tobie zapominam. Kupuje nam eurokrem i pozwala, żebyśmy jedli go łyżką. Nie gniewa się, jeśli się pokłócimy, kto ma zjeść białe. Kiedy wypijam ocet z sałatki pomidorowej, nie mówi nic. Jemy mnóstwo parówek i ćevapčićów, lody dostajemy więcej

niż raz dziennie, na plaży i wieczorem w mieście. Pierwszy raz kupuje nam żetony na zjeżdżalnię, możemy zjechać kilka razy. Kremem do opalania smarujemy się tylko rano i nawet nie sprawdza, czy posmarowaliśmy ramiona. Dostajemy kaczki na sznurkach. Każde ma swoją. Ja czerwoną, a Rok żółtą. Sznurki są przymocowane do drewnianego krzyża, kiedy się nim porusza, kaczka chodzi. Kaczka rusza też głową.

„O Matko Boska, o Jezuniu, ale jesteście spaleni”, wykrzykuje ciocia Anita, gdy pewnego upalnego wieczoru dzwoniemy do drzwi jej domu przy ulicy Mazziniego w centrum Rovinja. Od rivy idzie się do niej po wyślizganych kamieniach obok najlepszych lodów na rogu. Jej dom jest żółty, a w oknach rosną pelargonie. I pachnie, za każdym razem tak samo. Talerze w kuchni są niebieskie, zielone, różowe i żółte, w takich samych kolorach są kubki, z których pije się mleko, i podstawki.

Na nasz widok Anita od razu zagania mnie i Roka do łazienki. Musimy wziąć prysznic i posmarować się niveą. „Będą mieć pęcherze, Janez!”, mówi do taty, kiedy wykąpani pojawiajemy się w ogrodzie, podziwia nasze śliczne kaczki i dodaje, że na straganach można dostać nawet węża.

Do końca wakacji siedzimy na plaży w białych koszulkach, które lepią się nam do ciała, kiedy są mokre. W białych koszulkach pływamy i nurkujemy. Ale wtedy robi się z nich balon, dlatego nie możemy nurkować głęboko. Spalone mamy również nogi, tam gdzie zaczynają się palce. Anita mówi: podbicie. Słowa „podbicie” nie potrafię od razu zapamiętać. Kiedy nie jesteśmy w wodzie, musimy zakrywać nogi ręcznikiem.



Po naszym powrocie już siedzisz. W nowym niebieskim szlafroku, w nowej białej kuchni. Oczy są znów twoje, i usta też. Opowiadam ci, że tata nad morzem wcale się nie złościł, opowiadam o eurokremie, o lodach i zjeżdżalni, i o tym, że smarowaliśmy się tylko trochę. „Widzę”, mówisz i kiwasz głową. Nie gniewasz się nic a nic.